

110 ULIC

małgorzata gutowska-adamczyk



NASZA KSIĘGARNIA

110 ULiC

110 ULIC

magorzata gutowska-adamczyk



NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Małgorzata Gutowska-Adamczyk

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2007

Projekt okładki: Agnieszka Wrycz

Michał, w swej ulubionej pozycji (mocno odchylony na krzesło komputerowym), rozmawiał przez telefon. Jego nogi, obute bez względu na porę roku w wielkie bucioro do koszykówki (aktualnie numer 47), spoczywały jak zwykle na biurku. To podobno ułatwiało krążenie. I prawdopodobnie pobudzało też kreatywność, bo najlepsze pomysły wpadały Michałowi do głowy właśnie w tej pozycji, zwanej w domu Wierzbickich pogardliwie: „na chama”. Rodzice zaciekle tępiłi tę nadmiernie eksploatowaną akrobację. Na wsparcie swych racji wysuwali zawsze ten sam nudny argument: krzesło przewróci się lub złamie, Michał spadnie na podłogę, rozwali czaszkę albo skręci kark. Losem przeciążanego nad miarę krzesła nikt się nie przejmował.

Michał uważał, że starzy mają zbyt bujną wyobraźnię! Statystycznie, co drugi jego kolega musiałby chodzić w kołnierzu ortopedycznym. Zresztą teraz rodziców nie było w domu i nieprędko mieli wrócić. Mama pewnie trochę wcześniej – koło szóstej, ojciec w okolicach dziewiątej, może dziesiątej. Zbliżała się czwarta, miał więc bardzo dużo czasu na maltretowanie kręgosłupa. Więcej niż dużo, bo była połowa czerwca, za tydzień wakacje!

– ...obóz żeglarski w Mikołajkach, potem ze starymi do Portugalii. „Lisbon story”, te klimaty, rozumiesz... A w sierpniu na obóz je-

zykowy do Londynu... – z dobrze wystudiowaną lekkością relacjonował koledze przez telefon swoje rewelacyjne plany.

Obóz żeglarski na nikim nie robił wrażenia. Gdyby jednak to był Wood Camp! Ten miał zdecydowanie najwyższe notowania. Ale rodzice się nie zgodzili. Uznali, że szkoda czasu na naukę akrobacji na deskorolce. I, nie wiadomo dlaczego, towarzystwo też im nie pasowało. Co innego żagle – ekskluzywny sport na całe życie. Na szczęście zostawała jeszcze Portugalia. Była modna. A po filmie Wendersa również trochę snobistyczna. Nikt z klasy jeszcze tam nie był.

– Kartkę? Spoks! Wolisz bikini na tle morza czy zabytki? Zresztą sam wybiorę. Byle nie starsze niż dwadzieścia lat? OK, wiem, że się interesujesz zabytkami. Stary! Najważniejsze, że wszyscy zdali! A we wrześniu dopiero pokażemy, na co nas stać!

Tu miała nastąpić litania przyszłych wielkich czynów klasy IIe, jak chociażby: nowe tagi na ostatnich wolnych skrawkach ścian w dzielnicy, przebalowane imprezy, przewyżone koncerty, wygrane mecze koszykówki (przecież przyjmą go chyba do reprezentacji szkoły?). Eech! Życie jest piękne! Zwłaszcza gdy ma się przed sobą wakacje! Jest piękne nawet wtedy, gdy się chodzi do szkoły i zalicza kolejne jedyńki! Kończąc ósmą klasę, Michał nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wielka zmiana nastąpi w jego życiu. Starzy ciągle przynudzali o egzaminach do liceum i o tym, że musi się dostać do renomowanej budy, bo to jest przepustka do sukcesu w dorosłym życiu. Nie dostał się jednak do pierwszej dziesiątki, lecz wylądował tu, w 7XL.

I jest w porzo! Więcej niż w porzo! Krzysiek, Toman, Pudiel, Kura, Pokor – gdzie znalazłby takich kolegów? Na pewno nie w liceum z pierwszej dwudziestki! Tam chodzą same kujony, dziobaki, karierowicze, szczury poszukujące sera w labiryncie i gotowe oddać duszę diabłu! Dostać piątkę to dla nich hańba! A on jest przeciwieństwem kujona. Czasami, dość rzadko, dostaje też dobre stopnie, głównie z wufu. W końcu szkoła to przecież miejsce, gdzie czło-

wiek spotyka kolegów, kiedy nie ma żadnej imprezy. Kim chce zostać w przyszłości? Bóg to raczej wie! Starzy twierdzili, że przy jego wzroście – 188 centymetrów – na pewno będzie ochroniarzem, w innych zawodach nie ma większych szans. Nie dyskutował z tym. Wiedział swoje. Jeszcze będzie kimś! Ma na to bardzo dużo czasu!

Nagle nad jego rozmarzoną głową pojawił się jakiś zwalisty kształt, a krzesło zachybotło się niebezpiecznie. I zostałby może pierwszą ofiarą złamania podstawy czaszki w wyniku bujania się na własnym krześle, ale jakimś cudem złapał równowagę i poderwał się na nogi.

– Co to ma znaczyć?! – rozległo się tuż nad jego uchem.

– Tata? Nie słyszałem dzwonka... – Michał przyciszył nieco wieżę.

Ojciec stał nad nim wściekły, wymachując billingiem wyjętym właśnie ze skrzynki pocztowej. Tym razem nie chodziło o krzesło.

– To jest rachunek telefoniczny szesnastolatka?!

Michał spojrzał na billing. Tak. To był jego rachunek. To znaczy rachunek za jego telefon. Zawsze był taki. Nie, w marcu był chyba jeszcze wyższy? Wtedy starzy nawet zabrali jego Nokię na kilka dni. Nic się nie dało zrobić, zwłaszcza że wypadały mu jedynki z paru przedmiotów. Taka metoda wychowawcza. Nie spierał się. Wiedział, że oddadzą. Zresztą w końcu sprężył się i zdał! Może niezbyt efektownie, ale jednak. Michał podejrzewał, że nie chodzi o rachunek. Widok ojca w domu o godzinie szesnastej trochę go zaniepokoił.

– Coś się stało?

– My się chyba nie rozumiemy. – Krzysztof Wierzbicki nie próbował ukryć irytacji. – Kilkaset SMS-ów! Ten rachunek jest horrendalny! Niektórzy ludzie nawet tyle nie zarabiają!

„Tym gorzej dla nich!” – pomyślał Michał. Głośno nie miał odwagi tego powiedzieć, bo choć ojciec nigdy go nie bił, kto wie, jak silne hamulce mają dziś jego poglądy wychowawcze? By rozładować atmosferę, zapytał pojednawczo:

– Zrobić ci kawy?

– Proszę.

Krzysztof Wierzbicki odłożył rachunek na biurko i wyszedł z pokoju Michała. Zaraz zacznie czytać gazetę i zapomni o wszystkim. Michał nastawił ekspres i w czasie, gdy kawa się parzyła, odruchowo mył talerze pozostawione po śniadaniu, spoglądając na ojca z ukosa.

– Coś się stało? – zapytał znowu, stawiając kawę na stole.

Ale ojciec był już pochłonięty wertowaniem „Wyborczej”.

– Co mówisz?

– Tak wcześnie przyszedłeś.

– Nie, nic. Miałem spotkanie, szybciej się skończyło. Gdzie Mi-kołaj?

– Poszedł na deskę. A ja idę na kosza. Mogę?

– Lekcje odrobiliście?

– Tata, przecież już nic nie zadają!

– No tak. To idź.

Kiedy Michał ubrany w strój do koszykówki wychodził na boisko, jeszcze raz rzucił ukradkowe spojrzenie na ojca, który teraz siedział z głową pochyloną nad stołem, i jak człowiek, który ma problem, mocno pocierał twarz dłońmi.



Krzysztof Wierzbicki zapomniał, że nie jadł śniadania. W ogóle nie był głodny. Od kilku tygodni sprawy układały się źle. Filia międzynarodowego koncernu, w której pracował, nie osiągnęła zakładanego pułapu sprzedaży i on, jako jej szef, musiał ponieść konsekwencje. Zarządu nie interesowało, że w Polsce jest recesja, że ludzie, nie mając pieniędzy, na wszystkim oszczędzają. Ich towar miał się sprzedawać coraz lepiej. Gdy zyski w kolejnym kwartale nie osiągnęły spodziewanej wysokości, sprowadzono z centrali

specjalistę od zarządzania kryzysowego. Na miejsce dotychczasowego dyrektora. Nikt nie pofatygował się nawet, by mu podziękować za lata, kiedy po dwadzieścia godzin na dobę tworzył tę filię. Za tygodnie wyrwane z urlopu. Za lata tłuste, gdy polska filia była wzorem dla całej Europy Środkowej. Nic nie zapowiadało takiej burzy. Gdy dostawał wypowiedzenie, patrzył na nie, jakby dotyczyło kogoś innego.



Mikołaj po raz setny próbował wskoczyć na krawężnik. Innych deska słuchała, jak przyklejona szybowwała do góry. Gdy się patrzy z boku, wydaje się to takie łatwe! Zaliczył już z dziesięć upadków, wszystko go bolało – a deska wciąż była nieugięta. Ale on ją jeszcze nauczy rozumu!

– Ty, ta bryka to wasza? – usłyszał za sobą głos nieznanego skejta. Wzrostu Mikołaja, ale chyba starszy o kilka lat, jego pewność siebie świadczyła o wysokiej pozycji w miejscowej hierarchii. Mikołaj obejrzał się i zobaczył samochód ojca.

– Bo co?

– Bo nic. Powiedz staremu, żeby tu nie parkował. Tu się jeździ.

– Jak mi się zechce.

– Nie to nie. Najwyżej mu się ten jego śliczny metalik trochę przytrze – powiedział chłopak i zaczął wskakiwać swoją deską na krawężnik, niebezpiecznie blisko samochodu ojca.

Mikołaj patrzył na niego ze złością zmieszaną z podziwem. Znał chyba tę twarz? Co też on wyczyniał! Był prawdziwym mistrzem. Dlaczego więc nie skacze na Jutrzence albo w innym skate parku, tylko na osiedlowym parkingu? Tu nie ma dla takiego kogoś zbyt wielu możliwości. Żadnych ramp, podjazdów, barierek. Co innego on – dopiero zaczyna. I będzie się musiał jeszcze długo uczyć! W swo-

ich markowych ciuchach nie potrafił wykrzesać z dobrej deski połowy tego, co ten chłopak ze swojego gruchota!

Mikołaj miał dwanaście lat i wszystko chciał robić najlepiej, dlatego często tu przychodził, kiedy nikogo nie było, i trenował do upadłego. Efektem były poranione kolana i łokcie. Na szczęście żaden poważny uraz jeszcze mu się nie przytrafił. Tym bardziej teraz nie chciał się ośmieszyć i uznał, że na dziś wystarczy.

Nagle przypomniał sobie, skąd zna tego chłopaka. Parę tygodni temu kupili za kieszonkowe „Garaż” – kasetę wideo z popisami deskorolkarzy. Często ją z Michałem oglądali. Tak, to musiał być on! Ktoś sfilmował jego triki „na Witosie”, czyli pod pomnikiem Witosy przy placu Trzech Krzyży. Jest tam świetna gładka powierzchnia. Niewiele takich w Warszawie. Może jeszcze koło Landu... Wszędzie, gdzie rozrzutny architekt kazał położyć płyty z polerowanego kamienia, jakby zapraszając deskorolkarzy. I Witos ze względu na swą gładkość ma ciągle towarzystwo. Jeżdżą wokół niego, skaczą, siedzą na schodkach.

Kto mógłby przypuszczać, że Wincenty Witos, działacz ludowy, pół wieku po swej śmierci zostanie patronem warszawskich skejterów! Mikołaj nie był ani na Witosie, ani na Jutrzence. Nie ma co się tam pchać, nie umiając wskoczyć na głupi krawężnik!

Ale w sprawie samochodu ten chłopak chyba nie żartował. Ojciec byłby wściekły, gdyby mu ktoś porysował lakier. Dopiero się tu wprowadzili, może nie znają jakichś niepisanych zasad? Musi go czym prędzej ostrzec. Wszyscy tak się cieszyli z nowego samochodu! Volvo S40, ciemna zieleń, metalik, full opcja, pełen odjazd! Mama chciała jasnoniebieski, też coś! Wreszcie ją przekonali. Trzy do jednego. Mężczyźni muszą trzymać się razem.

Czekając na windę, zastanawiał się, co powiedzieć ojcu. Przecież nie to, że się przestraszył jakiegoś tam skejta. Winda wlokła się niemilosiernie. Dwunaste piętro. Pół minuty jazdy. Trwało to w nieskończoność. Ale w końcu był już pod drzwiami mieszkania. Zadzwoił.

Cisza. Zadzwoił jeszcze raz. Z podobnym skutkiem. Nikogo nie ma w domu?

„Przecież to był nasz samochód. Na pewno. Gdzie mógł się podziać tata?”. Nie będzie stał pod drzwiami jak głupek. Pójdzie popilnować samochodu.



Michałowi jakoś dziś nie szło. Wciąż miał przed oczami głowę ojca zwieszoną nad stołem. Ostatnio widywał go często w takim stanie. Zbyt często. Dałby dużo, żeby wiedzieć, co się naprawdę stało. Ale przeczuwał, że się nie dowie. Nic z firmy ojca nie przedostawało się do ich życia rodzinnego. Czasami ojciec coś mówił matce, bardzo późnym wieczorem, Michała jednak aż do dziś bezbrzeżnie to wszystko nudziło. Marketing, wyniki sprzedaży, szkolenia, wyjazdy. Tylko nagrody i premie potrafiły go zainteresować, bo się od razu przekładały na nowe spodnie, bluzy, buty, płyty, programy komputerowe i forszę. Jednak nie chciał wiedzieć, skąd się ta forsa brała. Sprzedawanie, wciskanie ludziom tego samego kitu przez całe życie. Boże, co za nudziarstwo! Michał w sprawie przyszłości jedno wiedział na pewno: nigdy nie zostanie handlowcem! Ciągłe stres, że ci durnie znowu kupili za mało! Pewnie przez to ojciec ma kłopoty!

– Brawo, Iverson! – zawołał jego przyjaciel, Toman. – Zero trafień! Imponujący wynik jak na przyszłego członka reprezentacji!

– Daj mi spokój, dobra?! Noga mnie boli.

– Od kiedy to do kosza rzuca się nogą?

– To nie ma sensu. Idę do domu! – Michał zrobił ostatni wsad. Tym razem celnie, ale humoru mu to nie poprawiło.

– Super! Jedno trafienie na pół godziny! – Toman najwyraźniej nie miał zamiaru przestać się nad nim pastwić. – Jak będziesz myślał o czym innym, to nigdy nie trafisz!

– Masz jakiś problem?! To ja się nie dostanę do reprezentacji, ty już w niej jesteś! – syknął. Nie mówiąc nawet „nara”, odwrócił się na pięcie i odszedł. Przyspieszył kroku, zobaczywszy, że w jego stronę biegnie zdyszany Mikołaj.

– Nie wiesz, gdzie jest tata? – krzyknął Mały.

– W domu.

– Nie. Byłem przed chwilą.

– Na pewno zaraz wróci.

– W sklepie też go nie ma.

Michał przygryzł wargę. Nie podobało mu się to. Żaden z nich nie wziął kluczy. Gdyby ojciec gdzieś się wybierał, na pewno potrafiłby ich znaleźć. Zresztą widział go kilka minut temu, po jednym z tych nieudanych rzutów. Stał na balkonie i patrzył w dół. Zimny dreszcz przeszedł Michałowi po plecach. „Jakby sprawdzał, czy jest dostatecznie wysoko...” – pomyślał i poczuł, że zasycha mu w gardle. Zaczął biec, nie czując bólu skręconej nogi. Obraz ojca wciąż tkwił mu przed oczami. „Chyba nic mu się nie stało?”. Winda znowu wlokła się w nieskończoność.

Na przemian walił w drzwi pięściami i dzwonił dzwonkiem. I gdy już tracił czucie w dłoni, drzwi się otworzyły. Stał w nich ojciec, ociekający wodą, w szlafroku ledwo zarzuconym na ramiona.

– Co do licha?! Pali się?!

I wtedy Michałowi zakręciły się łzy w oczach. Pierwszy raz od bardzo dawna. Chcąc je ukryć, odwrócił głowę i przywierając całym ciałem do ojca, powiedział cicho:

– Kocham cię, tato.



Siedząc przy komputerze, Jolanta Wierzbicka „rzeźbiła”. Tak nazywała nieskończone poprawki w Bogu ducha winnych teks-

tach. Pisane przez nią artykuły musiały być nieskazitelne. I choć z dużym trudem, przywykła już do tego, że traci czas w „Nowoczesnej Pani”.

Kiedys praca w redakcji była dla niej największym pragnieniem, a teraz, gdy marzenie przyobiekło się w realny pokój w jak najbardziej realnym biurówcu, w kolegów i szefową – znowu czegoś jej brakowało! Może tego, że „Nowoczesna Pani” nie spełniała jej marzeń? Dolna półka, nie ma się co oszukiwać. Pismo dla niezbyt rozgarniętych kobiet.

Gdyby tak „Elle” albo „Twój Styl”... – myślała czasami. Jednak ciągle brakowało czasu, żeby się tym zająć. No i tu miała już swoją pozycję, a tam musiałaby zaczynać od zera. Wszędzie zresztą mogłaby trafić na skorpiona w spódnicy, jakim niewątpliwie była Naczelną. Na razie skorpion dawał się jakoś obłąskawić, ale wiadomo nie od dziś, że skorpiony, nawet najbardziej spokojne, potrafią ugodzić śmiertelnie bez uprzedzenia.

Tkwiała więc tutaj, trochę wbrew sobie, i pisywała artykuły, które ją samą okropnie nudziły – ale uważała, że wszystko, co robi, powinna robić perfekcyjnie. Trochę jej dziś nie szło, bo podczas lunchu ktoś puścił w kafeterii plotkę o planowanych zwolnieniach w redakcji.

„Kogo mogą zwolnić?” – zastanawiała się, poprawiając jednocześnie artykuł o tanich wakacjach. „Mnie pewnie nie, chociaż... Ostatnio było trochę więcej zwrotów i mniej reklam... Właściwie, niech mnie zwolnią! Dostałabym odprawę i poszukała sobie ambitniejszego zajęcia. Albo napisałabym wreszcie tę książkę dla dzieci, która od dwóch lat chodzi mi po głowie. Z głodu byśmy nie umarli, Krzysiek tak dobrze zarabia. Nie ma tego złego...”.

Spojrzała jeszcze raz na tekst. Był skończony. Dzięki Bogu! Powinna czuć zadowolenie, a jednak gdzieś na dnie czaił się w niej jakiś dziwny niepokój. „Co mnie tak zdenerwowało? No tak! – Janeczka!”.

Janeczka była panią na przychodne, która dwa razy w tygodniu sprzątała w mieszkaniu Wierzbickich. „Jej córka musiała złamać rękę akurat wtedy, gdy ja planuję sprzątanie!”. Janeczka wyjechała do Radomia zająć się wnukami i Jola została sama ze swoim studiumdziesiątym mieszkaniem. „Trudno. Najwyżej nie zrobię porządków teraz, tylko po wakacjach...” – pomyślała z rozpaczą, bo w kwestii porządków też była pryncypialna. Ze wstrętem odrzucała myśl, że jej piękne mieszkanie będzie miało przez kilka tygodni brudne okna.

– Poszłaś ze mną do Galerii Mokotów? – Anka Błasiak, koleżanka z redakcji, z którą Jola dzieliła pokój, uwielbiała zakupy. Nigdy nie miała dość nowych spódnic, bluzek, butów. Zwłaszcza buty stanowiły jej obsesję, a że trudno jej się było zdecydować, który model najlepiej pasuje, często wyciągała Jolę, by spojrzeć na nią krytycznym „babskim okiem”.

– Jasne.

Odgrywanie roli arbitra elegancji bardzo Joli odpowiadało. Zwłaszcza wobec młodszej o kilka lat Anki. Zresztą sama miała jeszcze co nieco kupić z myślą o Portugalii. Kostium kąpielowy, kapełusz, może buty... Taki wyjazd wymagał odpowiedniej oprawy...

– Muszę sobie poprawić humor.

Jola dopiero teraz oderwała wzrok od klawiatury i skierowała go na Ankę.

– Płaczesz?

Anka była zawsze wesoła i dość bezkonfliktowa. Jola lubiła ją za dystans do samej siebie, który nie był w ich firmie powszechny. Zresztą Anka znała reguły gry i wiedziała, że własnych braków lepiej nie wystawiać na widok publiczny. Zawsze ktoś niepowołany mógłby zrobić z nich użytek... Dziś skromność całkowicie wyszła z mody.

„Wystarczy, że jestem blondynką” – mówiła, choć była przeciwieństwem blondynki z dowcipów. Inteligentna, pracowita, często

dawała się wrobić szefostwu w zostanie po godzinach. Zresztą chyba lubiła tę pracę. No i nie miała rodziny, a Jolę traktowała jak starszą siostrę. Przed kimś czasem trzeba się otworzyć...

– Coś się stało? Chodzi o te zwolnienia? Nie martw się, ciebie na pewno nie zwolnią. Na kogo by zwalali całą czarną robotę?

Teraz już Anka zupełnie przestała nad sobą panować. Powiedziała tylko:

– Adam chyba ma kogoś... – i szybko zaczęła szukać czegoś w torebce.

– Myślę, że zakupy dobrze nam zrobią! I koniecznie duże lody! Co?



Rozgrzany upałem obraz miasta drgał nieregularnie. Krzysztof Wierzbicki, ubrany w garnitur, wiązał krawat i patrzył na panoramę lewobrzeżnej Warszawy. Najpierw odnalazł Pałac Kultury, ale wiedziony przyzwyczajeniem, szukał imponującego drapacza chmur, w którym do niedawna pracował i którego sylwetka zdążyła się już wtopić w obraz lewego brzegu Wisły.

Często, zastanawiając się nad rozwiązaniem szczególnie trudnych problemów, stawał w oknie swego gabinetu i patrzył na prawy brzeg, na Pragę. Jednym z punktów orientacyjnych widnokregu był jego dom. A raczej blok, w którym od dwóch lat mieszkali. Ciągle jeszcze świeża elewacja wybijała się z okolicznej szarości. Również nocą, gdy musiał dłużej zostać w firmie, spoglądał w okno, poszukując swej latarni morskiej, jak w myślach nazywał ten budynek. Miał on nietypowy kształt walca i fascynująco iluminowany szczyt. Niektórym przynosiło to na myśl talerz UFO, startujący z dachu.

Teraz też, był niby tu, a jednak stał jakby tam, w swoim gabinecie, i oczyma wyobraźni widział ten dziwny dom. Zrósł się z tym miejscem. Stał się jego częścią. Brakowało mu tego widoku. Brakowało mu pew-

ności, że jutro, o ósmej trzydzieści, znowu siądzie za swoim biurkiem. Gdy wszystko gra – myślisz, że tak będzie zawsze. Nagle ktoś przychodzi i mówi, że to koniec. Naturalnie nie wierzysz, ale kiedy po dwóch miesiącach bezustannego poszukiwania pracy ciągle nikt nic dla ciebie nie ma, zastanawiasz się, ile tak w gruncie rzeczy jesteś wart...

– Piękny widok – usłyszał za sobą głos Michała.

– Rzeczywiście.

– Wychodzisz? – Michał nie próbował ukryć zawodu.

– Mam jeszcze dzisiaj spotkanie.

– Nigdy nie zostanę menedżerem!

– Wybacz mi. To bardzo ważne.

– Dla ciebie wszystko jest zawsze bardzo ważne! Raz ci się udało wrócić przed siódmą! Myślałem, że pójdziemy do kina albo na pizzę, a ty po prostu przyszedłeś tylko wziąć prysznic i zmienić koszulę! Nie możesz sobie powiesić paru w swoim gabinecie? Masz tam chyba szafę?!

– Synku, niedługo wrócę.

– Daruj sobie! Idę z chłopakami do Promenady na bilard. Właśnie dzwonili.

– Będę koło ósmej. Zaczekaj na mnie.



To nieprawdopodobne, ile lodów potrafi zjeść zdradzana kobieta! Anka kończyła trzecią porcję, a tempo wymachów łyżeczką wciąż nie malało. Jolę od samego patrzenia już lekko mliło, zamówiła więc drugą kawę, profilaktycznie jej nie słodząc. Pomiedzy pomrukami zadowolenia, jakie zwykle towarzyszą robieniu rzeczy zakazanych, Anka streściła jej swoją wczorajszą randkę z Adamem:

– Cały czas był jakiś taki... Zamyślony... Boże, sto lat nie jadłam lodów! I zostawił u mnie swoją komórkę. A kiedy... Zadzwoiłam do

niego. Te czekoladowe są pyszne! Telefon odebrała jakaś kobieta... Nie, lepsze te z adwokatem. I powiedziała... Chyba zamówię jeszcze jedną porcję... Że Adam jest pod prysznicem! Co ona tam robiła, kiedy on był pod prysznicem?! No i dobrze! Pogo go nigdy nie lubił! Ty wiesz, że on zawsze zamykał mu drzwi przed nosem? Może wezmę jeszcze napoleonkę? I potem biedny pies szczekał całe piętnaście minut pod drzwiami, póki nie wyszliśmy. Myślałam, że się nabawię nerwicy. Nie, raczej wuzetkę... O Jezu! Niedobrze mi... Gdzie tu jest kibel?

Naukowcy odkryli, że za pesymistyczne myśli odpowiedzialne jest niedożywienie mózgu, które najłatwiej zlikwidować, dostarczając organizmowi odpowiednią dawkę cukrów. Toteż po zjedzeniu trzech porcji lodów, Anka nie mówiła już o Adamie. Wytarła tylko usta chusteczką, położyła fachowo róż na nieco zazielenione policzki, przejechała szminką po zbieleńszych ustach i już była gotowa stanąć do walki o nowe buty.

– Przecież nie mogę się wiązać z facetem, którego nie toleruje mój pies!

– Absolutnie!

Jola przyjęła taktykę potakiwania, bo gdyby ona oczekiwała od kogoś moralnego wsparcia w podobnej sprawie – na pewno by nie chciała porad podobnych do tych z babskich tygodników. I, zdaje się, Ance to wystarczało. Parła do przodu z wprawą maszynisty kolejowego, wchodząc tylko do tych butików, gdzie można było znaleźć coś naprawdę oryginalnego, omijając zaś z daleka oferujące tandetę za kosmiczne pieniądze. Jola umiała docenić jej fachowość i tylko lekko zwątpiła, gdy Anka zaczęła trzecią rundę dookoła galerii.

Dochodziła szósta i Jola czuła już głód. Nie mogła zjeść lodów. Dodatkowa godzina ćwiczeń w zamian za pół minuty przyjemności? Nie, dzięki! Zresztą nie miała, jak Anka, trzydziestu lat. Stuknęła jej czterdziestka. I to przesądzało sprawę. Gdy tylko coś pysznego po-

jawiało się na stole, Jola wypowiadała w myśli magiczną formułę. Jaką? Któż to może wiedzieć? Dość, że zawsze umiała powstrzymać rękę kierującą się w stronę ponadplanowych kalorii. Dlatego Jola nie gotowała. „Nie lubię. Nie umiem. Nie chcę. Wystarczy?”.

– Przekroczywszy smugę cienia, nie sposób uciec od takich myśli...

– A cóż to za smuga cienia?! Ciągłe stoisz w pełnym słońcu!

– Robię bilans – i co widzę – pracoholiczkę bez rodziny. A te moje związki? Pożal się Boże!

– Jeszcze wszystko przed tobą! No, i masz przecież psa...

– Pogo jest cudowny, ale wiesz, to jednak chyba trochę za mało...

– To jest but na lewą nogę! – Ekspedientka, która cały czas dyskretnie obserwowała Ankę i Jolę, dość już miała tej parodii zakupów.

– Oczywiście. Zresztą jest za mały. – Anka odstawiła but i niezrażona zaczęła przymierzać następny.

– Niech się pani wreszcie zdecyduje!

Panienka wołała siedzieć i czytać „Nowoczesną Panią”, która i teraz leżała otwarta na artykule o Beacie Ścibakównie, niż pilnować, żeby ktoś czegoś nie zwinął. Rzadko coś sprzedawała i lepiej jej szło zniechęcanie klientek niż zachwalanie towaru. Zresztą nie bardzo wierzyła, że ktokolwiek chciałby kupić buty za siedemset złotych. Po co? Za siedemdziesiąt też można znaleźć coś eleganckiego... Oczywiście nie tutaj... Żałowała, że nie pracuje już w salonie z garniturami. Faceci zawsze wpadali jak burza, łapali swój rozmiar, kazali zapakować i – nie wiedzieć kiedy – miała parę tysięcy w kasie. Baby marudziły w nieskończoność i rzadko jej się udawało sprzedać więcej niż trzy pary butów dziennie.

– Wezmę te – zdecydowała się wreszcie Anka i wszystkie trzy odczuły ulgę.



Była dziewiętnasta dwadzieścia dziewięć. Michał, czekając na ojca, grał w „Settlers III”. Właśnie ukończył budowę Wielkiej Świątyni. Musiał zwiększyć plony, ponieważ Azjatów na podmokłych terenach rósł jedynie ryż. Mikołaj siedział przed telewizorem, czekając na „Kropkę nad i” w TVN, bo był wielbicielem polityki w ogóle, a Moniki Olejnik w szczególności. Gdy zadzwonił dzwonek do drzwi, Michał poderwał się, by otworzyć, niepomny na to, że nie wydał swoim wojskom rozkazu obrony świątyni. Po jego powrocie do komputera Rzymianie będą się w niej panoszyć na całego. Tyle roboty na nic!

– To ty? – Nie próbował nawet ukryć zawodu na widok matki niosącej kilka toreb z nadrukiem „Galeria Mokotów”.

– Czy musiałabym zamienić się w Jennifer Lopez, żebyś wykrzesał na mój widok chociaż trochę entuzjazmu?

– Zostań sobą. Tak chyba będzie lepiej dla wszystkich... – zawyrokował, wyjmując z rąk matki torby i zagładając do środka. – Kupiłaś coś do jedzenia?

– Miałam taszczyć jedzenie aż z Mokotowa?! Żartujesz chyba! Nie mamy tu sklepów?

– Co wobec tego „taszczysz”?

– Rzeczy osobiste.

– W czym jest lepsze taszczenie rzeczy osobistych od taszczenia żarcia? Oto pytanie godne Hamleta!

– Jest znacznie przyjemniejsze, drogi Hamlecie.

– Zależy dla kogo.

– Jest tata?

– Był.

– To już coś wiemy. Zjecie coś? Wiadomości się jeszcze nie skończyły?

– Jak na to wpadłeś, Holmesie?!

– A tak w ogóle – co słychać?

- Dobra wiadomość: zdałem!
- Świetnie! Jeśli masz jakieś złe – zostaw je dla siebie.
- I po tośmy przez sześć lat prowadzili wojnę!
- W której odnieśliśmy, jak wiadomo, pyrrusowe zwycięstwo.
- A kogo obchodzi świadectwo z pierwszej klasy?!
- Mnie!
- Spoko! To jeszcze nie matura!

Zadzwonił dzwonek do drzwi, kończąc radosną pogawędkę pedagogiczną. Jolanta Wierzbicka zaczęła się już powoli przyzwyczajać do myśli, że Michał nie jest prymusem, wciąż jednak przychodziło jej to z dużym trudem. Jak dużym? Zawsze, kiedy miała być wywiadówka, starała się znaleźć sobie jakieś BARDZO WAŻNE ZAJĘCIE i wydelegować Krzysztofa. On zresztą też często miał BARDZO WAŻNE ZAJĘCIA i w rezultacie odbywali wywiadówki sam na sam z wychowawczynią, gdy Michał po raz kolejny przekroczył wytrzymałość któregoś z nauczycieli.

Z reguły okazywało się, że jest w zasadzie dobrym dzieckiem, tylko ma zły wpływ na kolegów i zbyt swobodnie czuje się w szkole. No cóż, nikt nigdy nie przyłapał go na paleniu, piciu czy ćpaniu i w tym upatrywali swój sukces wychowawczy. Problem tkwił w jego ekscentrycznym podejściu do nauki. Michał programowo nie uczestniczył w wyścigu szczurów, w ogóle nie miał ambicji, chyba że dotyczyły koszykówki, i regularnie przygotował matkę o migreny.

Konsultowali nawet jego przypadłość u psychologa, ale ku swej rozpaczy usłyszeli, że ma ponadprzeciętną inteligencję. Michałowi to wystarczyło. Dla nich wciąż było tajemnicą, dlaczego nie chce jej uruchomić w jakimś zbożnym celu. Jola szukała winy w sobie: „Ciągle nas nie ma. Chłopak potrzebuje silnej ręki...”. Ale nie było sposobu, by ten stan rzeczy zmienić. „Mam zrezygnować z pracy i odrabiać z nim lekcje? Przecież to absurd! Zresztą Mikołaj nie potrzebuje dozorczy, a ma dobre stopnie...” – „W piątej klasie...!” –

odpowiadało w niej coś głosem Michała. I tak zostawało – do kolejnej jedyńki. Ale teraz już koniec! Zdał! Odpoczną wszyscy.

Michał był ostatnim rocznikiem ośmioklasowej szkoły podstawowej – po nim nie będzie naboru do liceum, więc gdyby nie zdał, znalazłby się w rozkoszonym towarzystwie samych drugorocznych. Ta perspektywa stawiała włosy dęba na głowie wszystkim rodzicom zagrożonych jedynekami uczniów i powodowała, że na jakiś czas opuszczało ich poczucie humoru.

Michał otworzył drzwi. Stał w nich ojciec.

– Co tam, synku? Mama już jest? – Ojciec był jakiś nienaturalnie podniecony. Ale Michał zwrócił uwagę jedynie na jego słowa.

„Nie ucieszył się, że nie poszedłem z chłopakami na bilard! Trzeba było iść!” – Poczul się oszukany, choć ojciec był o czasie, a to nieczęsto mu się zdarzało.

– Dostałem propozycję pracy! – usłyszał jeszcze, wracając do komputera i próbując naprawić szkody wyrządzone przez Rzymian.

Ojciec miał dobrą pracę, czym się tu podniecać? Jeżeli dostał propozycję – to chyba tylko lepszej. Lepsza oznacza więcej godzin spędzonych w biurze i na delegacjach. To wszystko.

W domu Wierzbickich nikt nie przyjął słów ojca i męża z uwagą, na jaką nowina ta w rzeczywistości zasługiwała. Mikołaj rysował właśnie deskorolkarza wykonującego kickflipa – czyli obrót śrubowy deski między nogami. Sam na razie nie umiał tego zrobić, więc rysunek traktował trochę jak zaklęcie i bardzo się do niego przykładał. Jola, pijąc wino z wodą sodową, bo wciąż było piekielnie gorąco, oglądała „Wiadomości”.

– Taaak? – zapytała tylko.

– Jutro muszę wyjechać.

– Na długo?